

Przestrzeń obozu (przynajmniej takich obozów jak Auschwitz, gdzie obóz koncentracyjny jest zarazem obozem zagłady) można przedstawić jako szereg koncentrycznych kręgów, które na podobieństwo fal rozbiegają się z centralnego nie-miejsca zamieszkiwanego przez muzułmana. Ostateczną granicę owego nie-miejsca określano w obozowym żargonie Selektion, procedurą selekcji ludzi do komór gazowych.

Giorgio Agamben, *Co zostaje z Auschwitz*¹

Ojcu – zamiast rozmowy

Tym bardziej teraz, kiedy jest taki kruchy, trudno mi sobie to wszystko wyobrazić. Że to właśnie jemu się udało. Choć przecież nigdy – odkąd sięgam dziecięcą pamięcią – nie był zaradny. „Nie był zaradny” to mało powiedziane, to właściwie eufemizm. Nie przypadkiem literackim bohaterem mojego ojca był od dzieciństwa byczek Fernando, który nie chciał brać udziału w corridzie, postać z bajki Munroe Leafa. A jednak udało mu się to, co nie udało się wielu zaradniejszym od niego, choć niektórzy, jak Shlomo Venezia w książce *Sonderkommando*, uważają, że by przeżyć w tamtych warunkach, „trzeba było mieć praktyczne umiejętności, filozofia okazywała się nieprzydatna”².

Udało mu się, a jego przykład wydaje się zaprzeczać słowom Shlomo Venezii i wszelkiej logice. Niczego też jednak nie wyjaśnia. Mógłby powiedzieć, jak autor *Nocy*: „Nie wiem, jak udało mi się ocaleć: byłem straszliwie słaby i nieśmiały i nie zrobiłem nic, by się uratować. Ktoś mógłby powiedzieć, że to cud”³.

Czy mam w ogóle prawo o to wszystko dopytywać, dociekać, starać się pojąć rozumem i wyobraźnią rzeczy, których ani rozum, ani wyobraźnia pojąć nie są w stanie? Czy mam prawo włączać jego słowa, a także jego milczenie, w nurt po-Holocaustowej narracji? Czy mam prawo porównywać jego wspomnienia, właściwie te strzępy wspomnień, którymi podzielił się ze światem, ze słowami i pamięcią innych, czy mam prawo przywoływać cienie, o których z całych sił chciał zapomnieć? Czy w ogóle cokolwiek jestem w stanie zrozumieć? Nie wiem. Ale wciąż o tym myślę. W końcu przez kilkadziesiąt lat żyłam w cieniu milczenia.

Pamiętam, jak się ożywił kilka lat temu, gdy jego wnuczka jechała na plener do niemieckiego miasta Nossen. „Byłem tam w obozie” – powiedział. Teraz myślę, że jego ożywienie to był znak, którego wtedy nie umiałam odczytać. Znak, że ktoś w ułomny, niedoskonały, lecz jednak namacalny sposób dotknął jego przeszłości. I pragnienie, by dotknął.

Gdy patrzę na to zdjęcie z młodości, tuż po wojnie, także trudno mi to sobie wyobrazić. Rok 1946, ciemnowłosa, szczupły, delikatny chłopak czyta gazetę, może jakieś papiery. Ma dziewiętnaście lat. Niedawno odmłodził się o dwa lata, wstydząc się, że taki duży, znajdzie się dopiero w IV klasie i dlatego w karcie przyjęcia do Żydowskiego Domu Dziecka w Zatrzebiu fi-

MONIKA SZNAJDERMAN

Najdalsza granica

guruje już ta nowa, od tej pory oficjalna data urodzin: 28 VIII 1929. Wiele lat później, idąc na emeryturę, powie z szelmowskim uśmiechem: „Przechytryłem ich, udało mi się popracować dwa lata dłużej”. Na karcie przyjęcia, w rubryce „Charakter. Właściwości charakteru i usposobienia. Zamiłowania. Stosunek do kolegów, wychowawców i nauczycieli” napisano: „Marek wyróżnia się charakterem wybitnie wartościowym. Jest subtelny, wrażliwy, bardzo czuły na niedolę innych, lubi pomagać, sprawia mu to wyraźną przyjemność, dzieli się wszystkim, co posiada. Bardzo pracowity, ambitny, miewa stany depresyjne, najpewniej związane z przeżyciami wojennymi”. A koleżanka z Zatrzebia, Maria Thau (Weczer) tak opisuje go w książce pod tytułem *Powroty* (Kraków 2002): „Teraz, po latach, gdy wspominam i analizuję jego postać – spotykamy się zresztą, odkąd Polska otworzyła granice – sędzę, że obozy, głód i utrata rodziców i brata nie zniszczyły jego osobowości, nie zbrukały wewnętrznej czystości. Tak, był czysty, ta czystość emanowała od wewnątrz”⁴.

A w innym miejscu: „Marek był niewątpliwie naszym idolem: przystojny, szczupły, piękna twarz, to nieczęste połączenie fizycznej urody z żywą inteligencją, wrażliwością, empatią dla otoczenia, a razem z tym pewien dystans wobec otoczenia, który wręcz budził zainteresowanie i pociąg”⁵.

Tak, nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co przeżył. Wtedy gdy razem z matką, zaraz po wybuchu wojny uciekali na wschód. Powiedział o tej podróży tylko tyle: „Taksówką dojechaliśmy do Wyszkowa, potem furmankami dotarliśmy do Bugu. Po drodze dwukrotnie nas ograbiono, raz Niemcy, a drugi raz miejscowi chłopcy”⁶. Tylko tyle czy aż tyle? W tej opowieści zawarł to, co zapewne było dla niego, dwunastoletniego dziecka, najstraszniejsze – dwie bandyckie napaści, jedną niemiecką, a jedną polską. Nie starczyło pamięci na sprawy mniejszej wagi, dlatego, by pomóc swojej wyobraźni, muszę budować tę opowieść ze wspomnień innych. Na przykład łódzkiego Żyda Juliusa Margolina, który także uciekał jesienią 1939 roku z Warszawy, przez Mińsk, Siedlce i Lublin, na Wołyń. Margolin

opisuje tłumy i chaos na drodze biegnącej ze stolicy na wschód, ciągle naloty i ucieczki na kartofliska, plamy krwi na szosie, które „można było mierzyć na metry kwadratowe...”⁷. I zaskoczenie w Brześciu: „Front był za nami, a dwieście kilometrów od Warszawy nic nie wiadano o rzeczywistej sytuacji”⁸. Potem był Łuck, Równe i Tarnopol, gdzie już dwa lata przed pogromem zorganizowanym przez SS i OUN z udziałem polskiej i ukraińskiej ludności cywilnej, do którego doszło tam w dniach 3-11 lipca 1941 roku, usłyszał pełne nienawiści „pogromowe wypowiedzi o Żydach”⁹. W jednym z tych pogromów 3 lipca 1943 roku na zamku w Złoczowie zginęła moja babka Amelia.

Nie mogę sobie wyobrazić, jak przeżył pobyt w ukraińskiej bursie w Złoczowie, gdzie był razem z młodszym bratem Albertem, zwanym w domu Alusiem, od jesieni 1939 roku do śmierci matki. Tę bursę wspomina strasznie. Dyrektor placówki był sadystą, oni byli z bratem jedynymi Żydami, „panował szalony antysemityzm”¹⁰. Nie mogę sobie wyobrazić, jak przeżył potem, po śmierci matki, morderczą podróż z bratem do warszawskiego getta do ojca. Z tej podróży przypomina sobie, bardzo niejasno, tylko oderwane sceny – na przykład to, jak przeprawiali się częściowo wplaw, częściowo jakąś łodzią przez Bug. Pamięta także, jak już podczas pobytu w getcie dwukrotnie trafili z bratem na Umschlagplatz i jak ojciec cudem ich stamtąd wyciągnął. Jak potem, już samotnie, gdy ojciec z bratem poszli na Umschlagplatz (czy w ogóle się z nimi pożegnał?), został zabrany, w sierpniu 1942 roku, do Fortu Wola. Jak stamtąd oglądał płonące getto. Jak wreszcie później, 29 kwietnia 1943 roku, gdy getto wciąż walczyło, gdy grupa partyzantów Żydowskiego Związku Bojowego zniszczyła właśnie cały oddział hitlerowski na ul. Leszno, a inne grupy z ŻOB-u prowadziły walki partyzanckie z bunkrów na Franciszkańskiej i z głównego bunkra na ul. Miłej, on, wraz z całym obozem, zabrany został na Umschlagplatz, a następnego dnia wywieziony do Majdanka, a jeszcze potem, w lipcu 1943 roku, do Auschwitz. Jak później, zimą 1944/1945 roku, w czasie ewakuacji błąkał się sam po niemieckich lasach. Małe wypieszczone dziecko z warszawskiego Krakowskiego Przedmieścia, mieszkanie w kamienicy nad Boyem-Żeleńskim, potem szybko i nagle wydoroślały chłopak.

I gdy tak myślę, co jestem w stanie pojąć, z dostępnych mi relacji jego i innych oraz suchych faktów nieporadnie budując własną opowieść, i czy w ogóle mam prawo się starać, z pomocą przychodzą mi słowa Agambena: „Wyjątkowość wydarzenia, jakim było Auschwitz, jest raczej bezdyskusyjna. (...) Dlaczego jednak miałoby być ono niewysłowione? Czemuż mielibyśmy nadawać Zagładzie rangę mistyczną?”¹¹. I w innym miejscu: „Jedyną dostępną drogą wydało mi się zatem zatrzymanie się w pół drogi i zgłębienie tej szczeliny rozwierającej się między chęcią zrozumienia nazbyt wiele i nazbyt pospiesznie, znalezienia prostych

i uniwersalnych wyjaśnień, a odmową zrozumienia, prowadzącą do taniej sakralizacji”¹².

Swoją pierwszą w życiu selekcję – selekcję w Majdanku – przywołuje w pisanym w Zatrzebiu w 1945 roku wspomnieniu pt. *Moja podróż do Majdanka*¹³: „Prowadzili nas tą samą drogą, którą przyszliśmy, aż stanęliśmy przed długim, krętym budynkiem. To była „zauna”, kąpielisko obozowe. Wpędzili nas do baraków obok „zauny” i kazali się rozebrać, rzucając wszystko na całą stertę łachów. Potem każdy nago wychodził z baraku, a stojący obok więźni w asyście esesmana dokładnie każdego rewidował, nie omijając żadnego miejsca, gdzie coś mogłoby być schowane. Potem każdy po kolei przebiegał do kąpieliska, gnany batem stojącego w drzwiach esesmana. W pierwszym pomieszczeniu zajęli się nami fryzjerzy, goląc wszystkie możliwe włosy. Potem ustawiono nas w długi rząd i po kolei przepuszczano przez wąski korytarz, mający po przeciwległej stronie dwa wyjścia. Po lewej stronie zobaczyłem jakieś prysznice, domyśliłem się więc, że tam jest kąpiel. Ale jednocześnie dostrzegłem, że nie wszystkich przepuszczają. Stojący w pobliżu drzwi wyższy oficer obojętnym, prawie nieznanym ruchem ręki niektórych kieruje na prawo. Przypatrzyłem się lepiej. Oto podchodzi doktor Hajman, wysoki, chudy, bardzo kościsty. Oficer patrzy chwilę, potem pokazuje na prawo. Potem idzie Lipman, z wykrzywionym biodrem. Od razu na prawo. Teraz zrozumiałem. Ten oficer to był „Lagerarzt”, lekarz obozowy, a my przechodziliśmy selekcję. Pierwszą w moim życiu selekcję w łagrze”¹⁴.

W tych ostatnich dniach kwietnia 1943 roku razem z nim na Majdanek przywieziono około trzech tysięcy pięciuset osób z warszawskiego getta. Dostał numer 6530, który na jedwabnym sznureczku musiał zawiesić sobie na szyi. Ten numer, a także szczegóły codziennego życia w bloku numer 15 i nazwiska innych więźniów, przechowała tylko jego pamięć. Być może jedynie dzięki niej wiemy na przykład, że dwaj spośród siedemdziesięciu pięciu współtowarzyszy podróży w bydlęcym wagonie pociągu wiozącego ich z getta – doktor Grodzieński miał w wagonie ze sobą ampulkę trucizny, ale nie był w stanie jej zażyć. I że doktor Landesman wraz z żoną, a także Miedziński z synkiem wyskoczyli z pociągu. „Słysząc parę strzałów, potem cisza”¹⁵...

I to wszystko. Po moim niespełna szesnastoletnim wówczas ojcu w archiwum Majdanka nie zachował się żaden materialny ślad.

Opisując w dalszej części wspomnień codzienne piekło Majdanka, zauważa dwie rzeczy: że, jak mówi Barbarze Engelking, najbezpieczniej jest w środku. Zrozumiał to od razu, pierwszego dnia, „gdy po obu stronach kolumny szli esesmani z psami, które szarpały ludzi idących z brzegu. Wtedy rozumiałem, że najbezpieczniej jest w środku. Potem, jeśli to było możliwe, starałem się zawsze być w środku”¹⁶.

Oraz że w każdym piekle istnieją kręgi. „Dzień w dzień chodziłem na komando. Zapowiadało się źle. Ale gdy patrzyłem na to, co się wokół działo, nie wolno mi się było skarżyć, gdyż mój los, w porównaniu z losem dziesiątek tysięcy był jeszcze stosunkowo dobry”¹⁷. Na przykład dlatego, że gdy 3 listopada 1943 roku, w tzw. krwawą środę, podczas akcji „Erntefest” wymordowano niemal wszystkich Żydów przebywających na Majdanku oraz w jego komandach zewnętrznych i w obozach pracy w Lublinie i oszczędzono zaledwie sześćset kobiet i mężczyzn, był już w KL Auschwitz. Po raz kolejny ocalał życie – tym razem dzięki Auschwitz.

Bo do Auschwitz trafił 11 lipca 1943 roku. Wiem, że akurat wtedy, bowiem w książce *Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz* (Oświęcim-Brzezinka 1992) Danuty Czech mogę wyczytać, że tego właśnie dnia nadano mu nowy obozowy numer – numer 129595. Razem z nim numerami od 128951 do 129713 oznaczono siedemset sześćdziesięciu trzech Żydów (w tym jednego zmarłego). Więc nawet numer w Auschwitz dostał, można powiedzieć, całkowicie środkowy. Nie jest ani starym więźniem, o numerze do 80 000 (to głównie niedobitki z polskich gett, pisze Primo Levi, niewielu spośród nich przeżyło) ani oznaczonym „dużym numerem” późnym i zagubionym w obozowej rzeczywistości przybyszem.

Więźniowie podzieleni zostali przez lekarza obozu męskiego Bib SS-Untersturmführera dra Rohdego na cztery kategorie:

1 więzień – zmarł; 78 więźniów – wymaga przyjęcia do leczenia; 237 więźniów – jest zdolnych do podjęcia średnio ciężkiej pracy; 328 więźniów – jest zdolnych do podjęcia ciężkiej pracy. Przypuszczam, że zaliczono go do tej środkowej, trzeciej kategorii.

Tego samego dnia w kostnicy obozu „złożono zwłoki sześciu więźniów”.

Znam nazwiska wielu osób z jego transportu. Próbuje sobie wyobrazić, jak idzie, szesnastoletni, obok Abrama Wacera, niemal rówieśnika z Warszawy, lub Jankela Tugentmana, lat 20, z Parysowa. Albo też obok Dawida Lebenbauma, o ledwie dwa lata starszego od siebie, też z Warszawy. Może pomaga w marszu Izraelowi Ajdenbergowi, lat czterdzieści jeden, czy też Szlamie Dunkelrojtowi, rocznik 1901, który także przeżył obóz. Albo Mojżeszowi Scheinfuchowski, o którym nie wiemy nic... Przywołuję te nazwiska, zaczerpnięte z książki *Żydzi polscy w KL. Auschwitz. Wykazy imienne*¹⁸, by dać odpocząć wyobraźni rozpaczliwie poszukującej jakiegoś konkretnego, jakiegoś punktu zaczepienia w straszliwej, abstrakcyjnej pustce. A także dlatego, że bardzo chcę wierzyć, iż jego udziałem były jakieś gesty solidarności i pomocy, a nie ostateczna nieludzka samotność.

Następnego dnia jako zdolnego do pracy przeniesiono go do BIId. Obóz ten, pisze Danuta Czech, nazywano Mannerlager BIId (obóz męski BIId), najczęściej używając skróconej nazwy Lager BIId. A kierownik oddziału zatrudnienia Schwarz w piśmie przewodnim do

meldunków lekarza obozowego Rohdego o stanie zdrowia mojego ojca i pozostałych kilkuset Żydów oraz pięćset sześćdziesięciu ośmiu Żydówek przywiezionych dnia poprzedniego z KL Lublin skierowanym do komendatury KL Auschwitz stwierdził, że stan zdrowotny więźniów przywiezionych tym transportem jest na ogół lepszy niż w poprzednim transporcie. Jestem mu za to w dziwny, niewytłumaczalny sposób wdzięczna, tak jakby w tym urzędowym piśmie wyrażał troskę i jakby ten lepszy stan zdrowia był jego bezpośrednią zasługą.

O pierwszym wrażeniu z pobytu w obozie D opowie słowami ocalałego członka *Sonderkommando*, włoskiego Żyda Shlomo Venezii: „Jak tylko wszedłem do niego, zrobił na mnie wstrząsające wrażenie. Najpierw przechodziliśmy obok baraku SS, a taki znajduje się przy wejściu do każdego sektora i odbywa się w nim kontrola wejść i wyjść. Za barakiem, po prawej stronie, zobaczyłem basen wypełniony wodą. Potem powiodłem wzrokiem w górę i w rogu basenu ujrzałem szubienicę. Ten widok wstrząsnął mną”¹⁹. Szlomo Venezia jako jeden z niewielu przeżył pracę w *Sonderkommando* w krematorium III, a następnie marsz śmierci, i opowiedział o tym Beatrice Prasquier. A ja, odkąd to przeczytałam, myślę o moim kilkunastoletnim ojcu, przez półtora roku żyjącym w cieniu opisanej przez Venezia szubienicy.

Od listopada 1943 roku kierownikiem jego oddziału był Obersturmführer Joseph Schwarzhuber, a najwyższą funkcję w tzw. samorządzie więźniarskim pełnił Niemiec Franz Danish. W 1944 roku było w tym obozie 10 000 więźniów, w większości Żydów. Podczas pobytu w BIId mój szesnastoletni ojciec uniknął wielu selekcji. Na przykład tej pamiętnej, 8 października 1943 roku, w wigilię Jom Kippur, kiedy zginęło kilka tysięcy więźniów.

Zanim jednak obóz otworzył dla niego swe podwoje, dobrze się przygotował. Również dwa tygodnie przed jego przybyciem, 26 czerwca 1943 roku, zakończono budowę krematorium III, „przeło wszystkie nakazane krematoria zostały wybudowane. Odtąd wydajność istniejących krematoriów w ciągu 24 godzin pracy wynosi:

1. stare krematorium I (Auschwitz) 3 piece 2-muflowe – 340 osób
 2. nowe krematorium II (Birkenau) 5 pieców 2-muflowych – 1440 osób
 3. nowe krematorium III (Birkenau) – 1440 osób
 4. nowe krematorium IV (Birkenau) – 768 osób
 5. nowe krematorium V (Birkenau) – 768 osób.
- Łącznie 4756 osób”²⁰.

Zaś 1 lipca 1943 roku komendant Hoess zawiadomił członków garnizonu SS, że ogrodzenie przyszłego obozu mojego ojca, podobnie jak innych odcinków II w Birkenau (BIId i BIIf) zostało podłączone do sieci elektrycznej. Tak pisze o tym Elie Wiesel: „Wszędzie dookoła druty kolczaste pod napięciem. Co krok biała tablica z trupią czaszką. I napis: „Uwaga! Grozi śmiercią!”. Czyste kpiny – czy jest tu choć jedno miejsce, w którym nie grozi człowiekowi śmierć?”²¹.

O Auschwitz, gdzie był przez szesnaście miesięcy, od lipca 1943 roku do końca października 1944 roku, nie napisał nic. „– Czy Pan wtedy nienawidził? – pyta Barbara Engelking. – Zdawałem sobie sprawę z tej siły, która mnie otacza, która jest czymś zupełnie niewyobrażalnym. Ale czy to była nienawiść? Musiała to być nienawiść, ale jakaś całkiem bezsilna. To był zupełnie inny świat, do którego normalne pojęcia i zasady w ogóle się nie odnosiły”²². A w innym miejscu: „W jaki sposób o tym opowiadać? Człowiek żyjący w normalnych warunkach nie jest w stanie tego pojąć. Nawet ja nie potrafię o tym mówić z perspektywy kilkudziesięciu lat. To był inny świat, inne kategorie”²³. Próbowalem już to wyrazić, że to są jakby dwa światy. Dwa światy, które się obok siebie toczą, ale które się nie przecinają wzajemnie. Są diametralnie różne, we wszystkich kategoriach, w jakich by się nie rozpatrywało”²⁴.

„By unieść obozową rzeczywistość – pisze Dariusz Czaja w eseju poświęconym Primo Leviemu w *Lekcjach ciemności* – trzeba by skonstruować nowy słownik – Levi nie był jedynym, który tak twierdził – bo tylko on mógłby sprostać doświadczeniu, nazwać coś radykalnie nowego, co nie miało historycznego precedensu”²⁵. Mówimy «głód», mówimy «zmęczenie», «strach» i «ból», mówimy «zima» ale to jest coś innego – pisze sam Primo Levi w *Czy to jest człowiek*²⁶. – To są słowa wolne, stworzone i używane przez ludzi wolnych, którzy żyli, ciesząc się i cierpiąc u siebie w domu. Gdyby lagry potrwały dłużej, narodziłoby się nowe, surowe słownictwo”. Także śmierć nie jest śmiercią, jaką znamy. Według Primo Leviego obozową śmierć, szczególnie tę, która staje się udziałem muzułmanów, trudno jest nawet nazwać śmiercią. Bo tam, gdzie ludzkie życie przestaje być życiem, śmierć także traci swoją istotę. „Wszelako oznacza to, pisze Agamben, (...) że esesmani słusznie określali zwłoki mianem Figuren. Tam, gdzie śmierci niepodobna nazwać śmiercią, również trupów niepodobna nazwać trupami”²⁷.

Więc nie mówi, nie wspomina Auschwitz. Nie potrafi. Zapamiętał tylko niektóre obrazy. „Na przykład w nocy, jak się wychodziło do latryny, trzeba było przejść kilkanaście metrów po mrozie. Stały tam tak zwane lory, wózki ze zwłokami. Trzeba było lawirować między tymi wózkami i uważać, bo te ciężkie, zamarznęte zwłoki spadały”²⁸. Czas Auschwitz to czas z punktu widzenia matematyki pamięci nieistniejący. On sam określa ten czas i swoje w nim bycie mianem „fazy przetrwalnikowej”²⁹. Pamięć ożywa, rusza z miejsca dopiero kiedy wywożą go przez Oranienburg do Sachsenhausen 29 października 1944 roku. Wówczas to, jak podaje Danuta Czech w kalendarium wydarzeń w Auschwitz, z obozu męskiego BIIId w KL Auschwitz II do KL Sachsenhausen przewieziono około dwóch tysięcy dwustu więźniów. Zanim to jednak nastąpiło, szedł prawdopodobnie wraz z innymi do sauny obok krematorium V na przedwyjazdową dezynfekcję, pewien, że idzie na śmierć³⁰. Próbuje teraz przywołać w wyobraźni jego lęk, choć może było to

uczucie ostatecznej rezygnacji? Albo jeszcze inne uczucie, całkowicie spoza dostępnego mi rejestru uczuć?

I znowu, dalej, tylko obrazy. Właśnie z Sachsenhausen pamięć podsuwa mu całkowicie surrealistyczny obraz, którego nie wymyśliłby ani Ionesco, ani Beckett. Znowu oddam mu głos: „Stamtąd pamiętam charakterystyczny plac, otoczony półkolem zabudowań, przy którym na wieżycze stał wartownik z karabinem. Ludzie chodzili po tym placu bez przerwy. Całymi dniami, bez przerwy maszerowali – rozchodzili nowe buty dla niemieckich żołnierzy”³¹.

Potem były kamieniołomy w Ohrdruf, filii Buchenwaldu, o których mówi krótko, że go wykończyły. Ktoś, nie pamięta kto, załatwił mu wtedy pracę w kuchni. Kolejny mały cud. I jeszcze kolejny, gdy z ukradzionym z tej kuchni kartoflem złapał go znany z okrucieństwa esesman i, obmacawszy, puścił wolno.

Potem na powrót Sachsenhausen i – niemal na sam na koniec – Nossen w Saksonii. Zima. Kilkudniowa podróż towarowymi wagonami w drewniakach, bez skarpet. Potem już tylko ewakuacja w kierunku obozu w Leitmeritz i ucieczka podczas nalotu w kwietniu 1945 roku. Odłączywszy się od towarzyszy, przez kilka tygodni błąkał się sam po lesie. Żył się surowymi kartoflami i brukwią. W jakiejś opuszczonej chałupie w niemieckiej wsi doczekał Rosjan. Wrócił do Warszawy.

Nie wiem, jak i którędy wracał, a bardzo chciałabym dokładnie poznać i zapamiętać tę drogę, szlak powrotu, który tak naprawdę rozpoczął się o wiele wcześniej niż w niemieckiej opuszczonej chałupie, który rozpoczął się jeszcze tam, w obozie, podczas którejś selekcji, gdy uratował życie, gdy doświadczył kolejnego małego cudu... Chciałabym poznać każdy najdrobniejszy szczegół tego mozolnego, nieprawdopodobnego, codziennego ratowania życia podczas pobytu w kolejnych obozach i potem, podczas ewakuacji i ucieczki. Tu nie pomogą cudze wspomnienia. Tylko on sam może być autorem tej historii. Drogi ocalenia, ścieżki powrotów były różne, osobne i indywidualne i nie da się ich opowiedzieć cudzymi słowami. Jak pisze w książce *Krótki przystanek w drodze z Auschwitz* syn ocalonego z Holocaustu łódzkiego Żyda Dawida Rozenberga Göran Rosenberg: „Korzystam z każdej okazji, żeby pytać o drogę z Auschwitz, ponieważ każda droga z Auschwitz jest indywidualnym cudem sama w sobie, w odróżnieniu od drogi do Auschwitz, która jest kolektywnym piekłem, dla wszystkich jednakowym. Droga z Auschwitz wykreśla najróżniejsze trajektorie, odbija ku całkiem nieprzewidywalnym celom i przecina zupełnie nieoczekiwane miejsca. Każdy, kto zmierza drogą z Auschwitz, jest wyjątkiem, tak samo jak każda droga z Auschwitz jest wyjątkiem. A ponieważ nieliczni, którzy żywi dotarli do kresu tej drogi, rzadko kiedy przebyli tę samą drogę, łatwo zdarza się, że drogi z Auschwitz popadają w zapomnienie”³². Wtórzuje mu Primo Levi: „Jeżeli potępieni nie mają historii, a droga prowadząca do zagłady jest jedna i szeroka, dróg prowadzących do ocalenia jest

wiele, są strome i nieprzewidywalne”³³. Mój ojciec, który także wygrał drogę prowadzącą do ocalenia, który stał się beneficjentem *tego indywidualnego cudu*, mówi o tym w ten sposób: „Myślę że wszystkie przyjazdy do Oświęcimia były podobne. Różniły się tylko tym, że już w Oświęcimiu ludzie szli w różnych kierunkach”³⁴.

A więc gdzie był ten decydujący punkt wyznaczający drogę ku ocaleniu? Trudno go znaleźć i precyzyjnie umiejscowić, albowiem ci, którzy ocalili, nie ocalili w wyniku jakiegokolwiek logicznej sekwencji zdarzeń, która gdzieś ma swój początek, a gdzieś dalej szczęśliwe zakończenie. W świadectwach ocalonych dla wytłumaczenia zdarzeń z natury swojej niewytłumaczalnych można odnaleźć określenia z porządku religijnego, takie jak cud, los, przeznaczenie, przypadek, czasem szczęście. Otto Dov Kulka, urodzony w Czechosłowacji i ocalony z Holocaustu żydowski historyk, który przeszedł przez Theresin i Birkenau, co najmniej dwukrotnie uniknął śmierci wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności (raz dzięki temu, że chory na śmiertelny wówczas dyfteryt leżał w szpitalu – tym samym, w którym doktor Mengele przeprowadzał swoje eksperymenty – drugi raz, gdy słynny z okrucieństwa esesman podczas selekcji przymknął oko na jego młody wiek). Jednak aby opisać swoje ocalenia we wspomnieniowej książce *Pejzaże metropolii śmierci. Rozmyślenia o pamięci i wyobraźni*, zamiast pojęcia szczęśliwego zbiegu okoliczności woli używać raczej słów z porządku religijnego, takich jak cud i przeznaczenie. „Wiedziałem, że zostanę ocalony. Nie z powodu jakiejś zasługi, lecz z mocą swego rodzaju nieubłaganego przeznaczenia. Zaś cudem, którego znaczenia nikt nie rozumiał”, było dla niego na przykład wyłączenie obozu rodzinnego w Birkenau z zakresu rozkazu o ostatecznym rozwiązaniu. O cudzie kilkakrotnie wspomina też w *Nocy* Elie Wiesela.

Słów z tego porządku nie chce za to używać Primo Levi. „Gdy jeden z przyjaciół starał się przekonać Leviego, że jego ocalenie było dziełem opatrności, że został «naznaczony», że jest «wybrańcem», Levi reaguje oburzeniem (...), jak gdyby stwierdzenie, iż w Auschwitz udało się ocalić jakieś dające się rozpoznać dobro, zachować je w trakcie pobytu w obozie i wynieść je poza jego bramy, do normalnego świata, było czymś nie do przyjęcia i nie świadczyło o dobru”, pisze Giorgio Agamben³⁵. Sam Primo Levi zaś mówi tak: „Teraz dochodzę do przekonania, że choćby dlatego iż istniał Auschwitz, nikt dzisiaj nie ma prawa mówić o Opatrzności”³⁶. Także i on robi jednak przecież wyjątek dla jednego momentu, gdy zimą 1945 roku w obóz uderzyła bomba, oszczędzając jego barak. Wówczas „mózgi nasze – pisze – musnęło wspomnienie cudownych ocalań biblijnych”³⁷.

Göran Rosenberg w przywoływanym już *Krótkim przystanku na drodze z Auschwitz* pisze zaś: „Wydaje mi się, że tym samym mogę powiedzieć, że masz szczęście, ponieważ właśnie Unterkommando Vechelde staje się pierwszym miejscem w twojej drodze z Auschwitz. Tego o szczęściu nie trzeba rzecz jasna cały czas powtarzać,

więc powiem to tylko raz. Szczęście, przypadek, traf i kaprys losu to imiona kamieni, którymi jest wybrukowana każda droga z Auschwitz. Nie ma żadnych innych dróg z Auschwitz jak tylko nieprawdopodobne”³⁸.

Mój ojciec, zapytany, czy wierzył w to, że przeżyje, odpowiada: „Nic nie robiłem w tym kierunku, przeżyłem przez przypadek”³⁹. Słowa o przypadku powtórzy jeszcze kilka razy.

Co począć z doświadczeniami wykraczającymi poza wszelkie znane wcześniej granice rzeczywistości, z doświadczeniami, dla opisu których nie mamy języka, pojęć ani kategorii? Co począć z miejscem, „w którym stan wyjątkowy staje się regułą, a sytuacja skrajna przestaje się w paradygmat codzienności”⁴⁰? Obozowa rzeczywistość Auschwitz nie podlega regułom znanego nam świata i zamyka się na nasze próby zrozumienia. Czy zatem w ogóle – jeśli nie mamy narzędzi epistemologicznych do opisu tamtej rzeczywistości, jeśli, parafrazując tytuł książki Primo Leviego, nie wiemy nawet „czy to jest człowiek?” – możemy w stosunku do niej stosować jakiekolwiek znane określenia? Kluczowe w tym kontekście jest pojęcie zła. Świadomie pozostając z dala od filozoficznych rozważań na temat istoty zła (ze szczególnym uwzględnieniem *Symboliki zła* Paula Ricoeura), posłużę się tym określeniem dla opisu doświadczenia, wobec którego język inaczej musiałby pozostać niemy. Gdy jednak nakładam pojęcie zła na rzeczywistość obozów zagłady, zaczyna mnie nurtować pytanie, czy to zło podlega procesowi eskalacji. Czy – innymi słowy – mogę powiedzieć, że Majdanek to mniejsze, a Auschwitz większe zło? Że w Auschwitz zło doprowadzone zostało do swej formy najskrajniejszej, najokrutniejszej, ekstremalnej? Że z Auschwitz ci, którzy ocalili, wychodzili trochę bardziej osmałeni, używając słynnego określenia pisarki Irit Amiel? A jeśli tak, to czy to nie jest trochę tak, jakby powiedzieć, że płomienie krematoriów Majdanka były chłodniejsze i spalały trochę mniej niż płomienie krematoriów Auschwitz? I że ci, którzy zginęli na Majdanku, zginęli mniej? A może jednak złem ekstremalnym były obozy czystej zagłady, a spośród nich Bełżec, który przeżyły trzy osoby? Bełżec, który nie zostawił po sobie nawet pamięci? A jeśli faktycznie Auschwitz latem 1944 roku aż do 23 września to najbardziej ekstremalne doświadczenie zła, jakiego zaznał człowiek, albowiem – patrząc z perspektywy ekonomicznej – oświęcimskie przedsiębiorstwo śmierci osiągnęło wówczas najwyższą wydajność, pracując na dwie zmiany po dwanaście godzin każda, to czy znaczy to, że zło panujące w Auschwitz wcześniej i później było złem mniejszym? 2 listopada 1944 roku całkowicie wstrzymano zabijanie gazem. Odtąd więźniów uśmiercano „tylko” poprzez rozstrzelanie w komorze gazowej lub na dziedzińcu krematorium V. Zredukowano także liczbę członków *Sonderkommando* do stu pięciu. Od listopada zaczęto także demontaż urządzeń technicznych w komorach gazo-

wych i piecach krematoriów II i III. Krematorium IV poddano natomiast całkowitej rozbiórce. „Od sierpnia 1944 roku do połowy stycznia 1945 roku obóz przeszedł stopniowo – pisze – od swojego apogeum do zahamowania dynamiki rozwojowej i wreszcie do likwidacji”⁴¹. Użycie określenia „zahamowanie dynamiki rozwojowej” w kontekście najstraszliwszej w dziejach fabryki zagłady zdradza całkowitą bezradność języka nauki w odniesieniu do Zagłady jako przedmiotu badania.

Na te wszystkie pytania nie umiem znaleźć odpowiedzi.

Wielu ocalonych, filozofów i pisarzy, uważa jednak, że czas Auschwitz, ta sytuacja graniczna rozciągnięta w czasie i przestrzeni, sytuacja będąca, technicznie rzecz biorąc, tylko jednym z elementów i ostatecznych konsekwencji stanu wyjątkowego wprowadzonego przez nazistów w lutym 1933 roku, wkrótce po objęciu przez nich władzy i nigdy oficjalnie nieodwołanego, ma swoje półcienie i półtony. Dla Giorgio Agambena figurą najskrajniejszą, upostaciowiającą czyste zło i wykraczającą poza skalę ludzkiego doświadczenia, była figura muzułmana, zwanego przez Primo Leviego „świadkiem całkowitym”. Była to wszakże figura oksymoroniczna, gdyż muzułman to świadek, który nie ma szansy przemówić i dać świadectwa i w którego imieniu przemawiają ocalali. (Dlatego niektórzy nazywają świadectwa złożone przez ocalałych pseudoświadectwami, a Szoah – „przestrzenią bez świadków”). „Ci pogrążeni, nawet gdyby mieli pod ręką papier i pióro, nie daliby świadectwa, gdyż ich śmierć zaczęła się wcześniej”⁴². *Śmierć zaczęła się wcześniej*, nawet bowiem zanim nadeszła i ostatecznie położyła kres egzystencji muzułmana, formę jego istnienia trudno było nazwać życiem. Z braku lepszych określeń dla stanu nieznanego wcześniej ludzkości, a zatem niepoddającego się definicji, muzułmanów nazywano „trzymającymi się na chwiejnych nogach trupami (Améry), chodzącymi trupami (Bettelheim), istotami na wpół martwymi, ludźmi-mumiami (Carpi). Auschwitz, pisze Giorgio Agamben, jeszcze zanim stało się obozem śmierci było miejscem niebywałego eksperymentu, niepoddanego dotąd dostatecznemu namysłowi, eksperymentu, wskutek którego Żyd, na granicy między życiem a śmiercią, przeistacza się w muzułmana, a człowiek w istotę nieludzką. I nie pojmiemy, czym było Auschwitz, póki nie zrozumiemy, kim lub czym był muzułman, póki nie nauczymy się spoglądać, wraz z nim, prosto w twarz Gorgony”⁴³. Według Agambena muzułmanie sytuowali się w obozowej rzeczywistości nie tyle na granicy między życiem a śmiercią, ile wyznaczali próg między człowiekiem a istotą nieludzką i zamieszkiwali centralne nie-miejsce, którego ostateczną realizacją były komory gazowe.

Mój ojciec nigdy nie dotarł do najdalszej granicy tego świata poza światem, rzeczywistości „poza winą i karą” (Jean Améry). Nie dotarł do centralnego nie-miejsca, nie stał się także uczestnikiem jeszcze in-

nej skrajnej sytuacji, jaką według Agambena i Primo Leviego była praca w *Sonderkommando*, mieszcząca się na najdalszej granicy tego wyimka obozowej rzeczywistości, którą Primo Levi nazwał „szarą strefą”: strefą, w której z punktu widzenia ontologii zła nic nie było oczywiste, w której, wykraczając poza znane nam i przyswojone kategorie dobra i zła, wykuwał się „nowy pierwiastek etyczny”, w której trudno było przeprowadzić rozróżnienie pomiędzy oprawcą a ofiarą⁴⁴.

Gdyby tak się stało, prawdopodobnie nie istniałabym. Cud, los, przeznaczenie, opatrność, a może przypadek lub szczęście stały się jego, i moim, udziałem. Ocalał, a Maria Thau mogła powiedzieć to, co powiedziała: „sądzę, że obozy, głód i utrata rodziców i brata nie zniszczyły jego osobowości, nie zbrukały wewnętrznej czystości”. Ale czy to możliwe? Czy możliwe jest prawdziwe ocalenie z Holocaustu? Nigdy się nie dowiem. Dostępne nam świadectwa zdają się temu przeczyć. Pozostaje mi tylko ratująca, zbawien-na wiara, że tak. Że jest wyjątkiem. Że jemu jednemu się udało. Bo choć wiem, że nosi i zawsze będzie nosić w sobie Auschwitz, muszę wierzyć w to, że przynajmniej do pewnego stopnia, zarówno fizycznie, jak i moralnie odniósł nad nim zwycięstwo. Muszę wierzyć w jego słowa, że potrafił na tyle wyzwolić się ze wspomnień, żeby normalnie żyć, i że nigdy nie myślał o zemście. Muszę wierzyć, że oświęcimski numer na jego przedramieniu nie stanowi – jak dla Jeana Améry’ego – całego jego istnienia i że, inaczej niż Améry’ego, opuściła go „uporczywa pamięć ofiary”⁴⁵. Muszę wierzyć, że wolny jest od poczucia wstydu, które według Primo Leviego nie opuszcza tych, co ocalali, czują się oni bowiem „w pewnym sensie «gorsi», nie tylko w stosunku do najlepszych, tych, którym prawość uniemożliwiała przystosowanie, lecz również w stosunku do anonimowej masy pogrążonych, których śmierci nie sposób nawet nazwać śmiercią”⁴⁶. Muszę wierzyć, że przynajmniej czasami nie dzieli z Elie Wiesellem poczucia winy wyrażonego słynnymi słowami: „Żyję, a więc jestem winien”. Jestem szczęśliwa, że Auschwitz nie dopadło go po latach jak Dawida Rozenberga, Paula Celana, Primo Leviego i wielu innych szaleństwem i samobójstwem, jak odroczone wyrok śmierci.

Zebraliśmy się ostatnio razem z okazji jego osiemdziesiątych szóstych urodzin. Wnuki, prawnuki. „Popatrz – powiedział do żony z jakimś nieśmiałym, jak zawsze on, niedowierzaniem – odbudowałem rodzinę”.

Przypisy

- ¹ Giorgio Agamben, *Co zostaje z Auschwitz*, Warszawa 2008, s. 52.
- ² Shlomo Venezia, *Sonderkommando*, Warszawa 2009, s. 58.
- ³ Elie Wiesel, *Noc*, Kraków 2007, s. 14.
- ⁴ Maria Thau (Weczer), *Powroty*, Kraków 2002, s. 30.

- ⁵ Tamże, s. 25.
- ⁶ Barbara Engelking, *Na łące popiołów. Ocaleni z Holocaustu*, Warszawa 1993, s. 172.
- ⁷ Julius Margolin, *Podróż do krainy żeków*, Wołowiec 2013, s. 31.
- ⁸ Tamże, s. 32.
- ⁹ Tamże, s. 33.
- ¹⁰ Barbara Engelking, dz. cyt., s. 172.
- ¹¹ Giorgio Agamben, dz. cyt., s. 31.
- ¹² Tamże, s. 9.
- ¹³ *Dzieci Holocaustu mówią*, tom I, Warszawa 1993, pod redakcją Wiktorii Śliwowskiej, ze wstępem Jerzego Ficowskiego.
- ¹⁴ Tamże, s. 215.
- ¹⁵ Por. *Dzieci Holocaustu mówią*, dz. cyt., s. 211.
- ¹⁶ Barbara Engelking, dz. cyt., s. 178.
- ¹⁷ *Dzieci Holocaustu mówią*, dz. cyt., s. 221.
- ¹⁸ *Żydzi polscy w KL. Auschwitz. Wykazy imienne*, Warszawa 2004.
- ¹⁹ Shlomo Venezia, *Sonderkommando*, Warszawa 2009, s. 67.
- ²⁰ Danuta Czech, dz. cyt., s. 455.
- ²¹ Elie Wiesel, dz. cyt., s. 72.
- ²² Barbara Engelking, dz. cyt., s. 180-181.
- ²³ Tamże, s. 185.
- ²⁴ Tamże, s. 187.
- ²⁵ Dariusz Czaja, *Lekcje ciemności*, Wołowiec 2009, s. 38.
- ²⁶ Primo Levi, *Czy to jest człowiek*, Kraków 2008, s. 177.
- ²⁷ Giorgio Agamben, dz. cyt., s. 70.
- ²⁸ Barbara Engelking, dz. cyt., s. 179.
- ²⁹ Tamże, s. 180.
- ³⁰ O przedwyjazdowych dezynfekcjach piszą Andrzej Strzelecki w rozdziale pt. *Historia, rola i działanie centralnej sauny obozowej w KL Auschwitz II Birkenau* oraz Irena Strzelecka w rozdziale *Sauna w relacjach i wspomnieniach świadków* w książce *Architektura zbrodni. Budynek tzw. centralnej sauny w KL Auschwitz II-Birkenau*, Oświęcim 2001.
- ³¹ Barbara Engelking, dz. cyt., s. 180.
- ³² Göran Rosenberg, *Krótki przystanek w drodze z Auschwitz*, Wołowiec 2014, s. 99.
- ³³ Primo Levi, dz. cyt., s. 127.
- ³⁴ Barbara Engelking, dz. cyt., s. 178.
- ³⁵ Giorgio Agamben, dz. cyt., s. 60.
- ³⁶ Primo Levi, dz. cyt., s. 227.
- ³⁷ Tamże, s. 227.
- ³⁸ Göran Rosenberg, dz. cyt. s. 106.
- ³⁹ Barbara Engelking, dz. cyt., s. 177.
- ⁴⁰ Giorgio Agamben, dz. cyt., s. 49.
- ⁴¹ Andrzej Strzelecki, *Auschwitz 1940-1945. Węzłowe zagadnienia z dziejów obozu*, t. V, Oświęcim-Brzezinka 1995, s. 7.
- ⁴² Primo Levi, *Pogrążeni i ocaleni*, Kraków 2007, s. 100.
- ⁴³ Giorgio Agamben, dz. cyt., s. 52.
- ⁴⁴ Tamże, s. 19.
- ⁴⁵ Por. Piotr Weiser, posłowie do książki Jeana Améry'ego, *Poza winą i karą*, Kraków 2007, s. 225.
- ⁴⁶ Giorgio Agamben, dz. cyt., s. 60.

